

Mortka Marcin

Pasażer

Już otwierając oczy, wiedziałem, że czeka mnie zły dzień. Zerwałem się z koi, wbiłem w kurtkę mundurową i otworzyłem drzwi kajuty kapitańskiej, gdzie przywitała mnie strapiona mina drugiego oficera, pana Sullivana.

– Za pańskim pozwoleniem, kapitanie, sir! – Wyprężył się jak struna, a jego piskliwy głos przepędził resztki senności, czym wprawił mnie w jeszcze gorszy nastrój. – Mam złe wieści.

– Wal pan.

– Po pierwsze, bosman O'Neil nie wrócił na noc na okręt. Wraz z dwunastoma marynarzami! O, tu spisałem ich nazwiska. – Wyciągnął z kieszeni pomietą kartkę i umknął w bok wzrokiem ucznia-skarżypyty.

– Podziwu godna skuteczność działania. – Skrzywiłem się. – Coś jeszcze?

– Po drugie, wciąż nie dostarczono nam słodkiej wody! – wypalił z oburzeniem.

– A to dopiero, panie Sullivan. – Uniosłem wysoko brwi. – Odkąd żyję, służba portowa nie pracuje w nocy. Jaka rewelacja kryje się pod punktem trzecim?

– No... – Drugi oficer zawahał się. – Właśnie dotarł posłaniec od gubernatora Kingston. O świcie ma dotrzeć na pokład... No... No, pasażer.

– Co? – Znieruchomiałem, wpijając w niego wzrok bazyliuszka. – Co takiego?

– Pasażer – bąknął Sullivan i cofnął się o krok. – Z żoną.

– Pasażer... – wyszeptalem z przymkniętymi powiekami. – Z żoną.

– To pan Arthur Tennyson, wielce szanowny urzędnik Kompanii Wschodnioindyjskiej, a jego żona...

Nie słuchałem. Ogarnięty nagłym atakiem furii, wypadłem na pokład, otwierając kopniakiem drzwi. Wartownik z piechoty morskiej uskoczył w ostatniej chwili, a marynarze, klęczący na deskach pokładu ze szczotkami i cegiełkami, znieruchomieli z przerażeniem w oczach. Na horyzoncie rozlewała się już różowa plama świtu, lecz ten widok, zamiast mnie uspokoić, powiększył jedynie wściekłość. Czułem, że muszę się na kimś wyładować.

– O'Neil! – ryknąłem.

– Bosman nie wrócił na noc na okręt! – Przypomniał nieśmiało Sullivan. Na swą zgubę.

O AUTORZE



Marcin Mortka Urodzony w roku 1976. Absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu na wydziale skandynawistyki. Podręcznikowy przykład Zodiakalnego Barana. Z zawodu (i powołania) nauczyciel, pilot wycieczek zagranicznych (wąska specjalizacja - Islandia i Norwegia) oraz tłumacz powieści Patricka O'Briana. Pasjonat epoki wielkich żaglowców oraz wypraw krzyżowych. Miłośnik i popularyzator RPG, związany z wydawnictwem "Portal", autor wielu artykułów poświęconych tej tematyce w "Portalu" oraz "Magii i Mieczu". Wydał powieść "Ostatnia Saga" (AW Runa, 2003).

– Poruczniku, jest pan oficerem wachtowym, nieprawdaż? – wrzasnąłem, aż spłoszone mewy poderwały się z reji. – Proszę mi zatem wyjaśnić, dlaczego nie wyznaczył pan tymczasowego zastępcy bosmana? I dlaczego liny buchtowane są prawoskrętnie? I dlaczego... Dlaczego panuje tu taki bajzel? – Wskazałem równe szeregi szorujących pokład marynarzy, równiutko ułożone liny i świeżo pomalowane relingi.

Marynarz, pucujący mosiężne elementy rufowej dziewięciofuntowej pościgówki, spojrział na działo z paniką, jakby przed chwilą wypróżnił się na nie słoń.

Przez dłuższą chwilę toczyłem wokół wzrokiem, sapiąc z bezsilnej wściekłości i szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia, aż parsknąłem i ruszyłem w kierunku pokładu rufowego, mego królestwa i dominium. Przy uskoku czekał na mnie Edward, jak zwykle starannie ogolony i odziany w idealnie dopasowany, szkarłatny mundur oficera piechoty morskiej.

– Czapka – powiedział, salutując mi na powitanie.

– Co?

– Zapomniałeś go opieprzyć, że bez czapki chodzi.

Westchnąłem z rozpaczą i oparłem się o reling burtowy. Na odległym horyzoncie wyłaniał się właśnie skraj tarczy słonecznej, a budząca się bryza studziła moje policzki. Fale z cichym pluskiem omywały burty "Magdaleny", a z góry dobiegło mnie uspokajające, dobrze znane skrzypienie rej. Nagle zapragnąłem być gdzieś daleko na morzu i żeglować z wiatrem, gdzie wzrok poniesie.

Marzenia ściętej głowy. Z niechęcią spojrzełem na zatłoczoną statkami reję Kingston oraz na zabudowania samego portu, wyłaniające się powoli z ciemności. Oto było moje przeznaczenie – powolne rejsy od portu do portu jako eskorta ociężałych kryp kupieckich, wyładowanych bogactwami Korony. Choć wojna z Francją trwała już od paru miesięcy, z topu masztu nie widzieliśmy ani skrawka żagla wrogiego okrętu, z którym moglibyśmy się zmierzyć. A może i dobrze? W końcu rozkazy gubernatora Morgana wyraźnie zakazywały nam podejmowania jakichkolwiek działań ofensywnych przeciwko jednostkom francuskim. "Magdalena" była dlań zbyt cenna – do chwili przybycia posiłków z Anglii mój okręt był jedną z nielicznych fregat na całym Morzu Karaibskim.

A kiedy przybędą posiłki, myślałem ponuro, ktoś inny zbierze laury zwycięstwa. "Magdalena" ma wielkie szanse przetrwać kolejną wojnę, nawet nie ujrawszy francuskiego okrętu. Teraz zaś, gdy wreszcie dobiegło końca znienawidzone konwojowanie, na pokład dorzucają nam pasażerów.

Nie cierpiałem pasażerów. Mniejsza o to, że należało odstępować im kajuty, podejmować obiadem i udawać zainteresowanie ich nudnym życiem na lądzie, mniejsza o to, że wypadało przy nich nie kłąć i zachowywać się dostojnie. Pasażerowie byli po prostu irytujący. Pętali się pod nogami marynarzy, wchodzili na pokład rufowy bez pytania, mierzyli czas wedle normy lądowej, przewracali się na najdrobniejszej nawet fali, a na chorobę morską zapadali jeszcze w porcie. Niektórzy posuwali się nawet do tego, że nazywali mój okręt statkiem.

A na domiar złego kobieta. Znów będę musiał tępić sprośne kawały i piosenki, które pojawią się z chwilą, gdy pani Tennyson postawi na pokładzie stopę. Znów przyjdzie mi odpędzać od niej pokładowych zboreźników, a ją sama przeproszać za każdą porcję bluzgów w jej obecności. Znów trzeba będzie udawać dżentelmena, co z całej kadry oficerskiej jedynie Edwardowi wychodziło naturalnie.

Ach, pies trącał wyjaśnienia! – zachnąłem się w myślach. Kobieta na pokładzie po prostu przynosi pecha!

Chrząknięcie za plecami przypomniało mi o obecności Edwarda.

– Billy, czuję żal na myśl o dorzuceniu kolejnej troski na twoje barki – odezwał się – ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

– Słucham.

– Chodzi o mego psa.

– Psa? – Zamrugałem oczyma, przeszukując pamięć. Pies? Ach, tak! Naraz przypomniał mi się spasiony buldog, który z upodobaniem gwałcił moje buty, póki nie zakazałem Edwardowi wprowadzania jakiegokolwiek czworonoga do mojej kajuty. – Ach, tak, jasne. Pies. Pamiętam. Co z nim? Zabrakło ciasteczek?

– Skądże znowu! Winston ma dobry żołądek i chętnie je suchary pokładowe, oczywiście odpowiednio pokruszone. Chodzi o to, Billy – Edward zmarszczył brwi – że Winston zniknął.

– Niewiarygodne. Na okręcie, gdzie żyje i pracuje dwustu chłopca, z których większość wciąż dysponuje dwiema nogami, zdolnymi wypłacić potężnego kopa, nie zniknie przecież coś takiego jak pies!

– Słyszę drwinę w twoim głosie. – Zmarszczka na czole Edwarda pogłębiła się. – Niesłusznie podejrzewasz załogę, która przecież darzy Winstona wielką sympatią.

To prawda. Marynarze chętnie poili bydlaka rumem i podsuwali mu buty do gwałcenia.

– Nie mogę go odnaleźć od chwili opuszczenia Port Royal!

– Wyłynęliśmy z Port Royal trzy dni temu! Jesteś pewien, że dobrze szukałeś?

– Oczywiście! – Obruszył się Edward. – Zleciłem to Lungowi, memu chińskiemu służącemu.

Pokiwałem głową, nie patrząc mu w oczy. Z chwilą zaprzęgnięcia Lunga do poszukiwań, szanse na odnalezienie psa zmalały i to bardzo. Chińczyk był jak do tej pory jedyną znaną mi osobą, która wypełzła przez bulaj prosto do wody, sądząc, że sięga na dno kredensu.

– Skoro nawet Lung nie dał rady odnaleźć Winstona, ja ci też nie pomogę. – Rozłożyłem ręce. – Przykro mi.

– Billy, to zwierzę jest naprawdę dla mnie bardzo cenne. To prawdziwy, dziewięcioletni buldog jorkszyski...

– Poczekaj! – przerwałem mu, oglądając się na działo rufowe. Pucujący je marynarz tarł mosiądz z taką pasją, że szmatka zaczynała z wolna dymić. – Powiedziałeś, że ile to-to waży?

– Dziewięć funtów.

– Hmm... Zgadza się z wagomiarem tej armaty. Edwardzie, na twoim miejscu spytałbym pana Zeemana, naszego artylerzystę, czy podczas ostatnich ćwiczeń ogniowych któraś z kul nie szczykała bądź skamlała.

Twarz Edwarda nabrzmiała, a jego dolna warga zadrżała, znamionując rosnące oburzenie. Otworzył usta do riposty, lecz wtedy przerwał mu okrzyk obserwatora z marsu.

– Ahoj, na pokładzie! Szalupa portowa z naszym znakiem!

– To pewnie nasi goście! Czas przygotować się na ich powitanie!

Pan Arthur Tennyson, wielce szacowny urzędnik Kompanii Wschodnioindyjskiej, był chudym mężczyzną w średnim wieku, o twarzy tak niepozornej, że zapominało się ją natychmiast po odwróceniu wzroku. Wspiął się na pokład, wytarł spotniałe dłonie o poły surduta i rozejrzał się wokół z nabożnym podziwem.

Szereg żołnierzy piechoty morskiej zaprezentował z trzaskiem broń i Tennyson aż podskoczył. W jego oczach pojawiło się coś na kształt chłapięcej tęsknoty, która natychmiast umknęła, odegnana ostrym, kobiecym głosem.

– Arthur! Pomóżże mi natychmiast!

Najpierw ujrzałem biały kapelusik z woalką, spod którego sypały się migoczące w słońcu brązowe loki, następnie ciemne oczy, skryte skromnie za powiekami, a potem całą twarz, szyję i biust. Poczułem się, jakby kula armatnia ugodziła mnie w pierś. Jak urzeczonej patrzyłem na jej kryte barwiczką usta, jakby stworzone do całowania, na jej białą szyję i kształtne ramię, o które opierała się parasolka. Gapiłem się jak urzeczonej, zapominając o surowym postanowieniu traktowania pasażerów z wzdągliwą wyniosłością.

– Jestem Arthur Tennyson, a oto moja żona Alexandra, sir. Przywiozłem dla pana rozkazy gubernatorskie. – Głos urzędnika Kompanii docierał z bardzo daleka. – Eee... Bardzo ładny statek.

Nie zareagowałem. Po raz pierwszy w życiu.

– Pan to zapewne słynny kapitan William O'Connor? – zapytała jego żona, chyląc z wdziękiem głowę. Jej cichy, ciepły głos był niczym promień słoneczny, padający na twarz zziębniętego wędrowca. – A pan to porucznik Edward Love, zgaduję. – Nawet do Kingston dotarły wieści o pańskich walecznych czynach w Port Royal.

– Blrp – powiedział Edward, kłaniając się nisko. Jego twarz była równie purpurowa jak mundur.

– Eeeee... – Postanowiłem wybawić przyjaciela z opresji i popisać się galanterią. – Yyyy... Eeee...

– Blrlropr – dodał Edward, kłaniając się na wszelki wypadek raz jeszcze.

– Skoro już się znamy – Alexandra Tennyson roześmiała się wesoło – może wskazalibyście panowie drogę do naszej kajuty? Czy byłby pan uprzejmy wziąć moje walizki? – zwróciła się do porucznika Sullivana, który aż podskoczył z wrażenia.

Przez twarz jej męża przebiegł skurcz, który początkowo wziąłem za wyraz z zazdrości. Nie, poprawiłem się w myślach, widząc kurczowo zaciśnięte szczęki i drgające powieki. Ten człowiek cierpi z innego powodu.

– Zechce mi pan podać ramię?

– Blrppt.

Nigdy jeszcze nie wypłynęliśmy z portu z taką prędkością. Alexandra Tennyson stała na śródokręciu, oparta z wdziękiem o reling i śledziła marynarzy roziskrzonym spojrzeniem, a ci zaś popisywali się niczym małpy w zwierzyńcu. Wachta kabestanów naparła na drągi z takim wigorem, aż się wystraszyłem, że kotwica wybije nam dziurę w burcie, żagle zaś opadły nim jeszcze przebrzmiało echo gwizdka bosmańskiego. Westchnąłem z niechęcią – żadna nagroda ani też żaden bat nie popędzał załogi skuteczniej od ognistego wzroku biuściastej ślicznotki.

Rzuciłem kilka rozkazów, wytyczyłem kurs na Port Royal i ruszyłem w sukurs Edwardowi, który bohatercko próbował zająć Alexandrę rozmową.

– A tamten żagiel? – Pani Tennyson wskazywała fokmarsel. – Jak się nazywa?

– Brlp – odparł Love. – Yyyy... Eeee...

Szybko się uczył.

– To fokmarsel. – Rzuciłem od niechcenia i oparłem się nonszalancko o reling, tak, by mogła podziwiać mą dzielną postawę, opromienioną przez wschodzące słońce.

– Marsel. – Alexandra wydeła usteczka. – A skąd pochodzi ta nazwa?

– Yyyyy...

To niesprawiedliwe, wzburzyłem się w myślach. Jemu zadawała prostsze pytania!

– A może zechciałaby pani obejrzeć cały okręt? – Oprzytomniał Love i rzucił mi wzgardliwe spojrzenie. – Jeśli tak, to służę z ochotą!

– Ależ z przyjemnością!

– W takim razie – wepchnąłem się przed Edwarda, który już podawał jej ramię – pozwoli pani, bym to ja, dowódca tej pięknej fregaty, oprowadził ją po pokładzie.

Edward zacisnął pięści, a w jego oczach zatańczył ogień piekielny.

– Pan, poruczniku, o ile się nie mylę, wciąż szuka swego psa, nieprawdaż? – Wbiłem mu szpilę na obchodne.

– Psa? – wykrzyknęła z ożywieniem Alexandra, całkiem zapominając o mej obecności. – Ma pan psa?

– Och, to tylko jorkszyrski buldog. – Machnął dłonią Edward. – Spokrewniony co prawda ze zwierzęciem księcia Kentu, ale...

Odprowadziłem niechętnym wzrokiem wyprostowanego dumnie Edwarda i uczeponą jego ramienia, rozszczebiotaną panią Tennyson. Przegrałem z kretesem. Ze złością poprawiłem trójgraniasty kapelusz i odwróciłem się w stronę pokładu rufowego. Kilka metrów dalej stał starszy marynarz Mullholland i rozdziawiał gębę na podobieństwo wylotu lufy armatniej.

– Na co się gapisz? – warknąłem.

– Na jej du...

– Och, zamknij się! – jęknąłem, wznosząc oczy ku niebu. – Do pucowania dzwonu, marsz!

W drodze na pokład rufowy minąłem stojącego nieruchomo pana Tennysona, który zapatrzył się w morze. Na jego twarzy, poźółkłej i niezdrowej, malowała się błoga zaduma, przerywana co rusz podejrzliwymi spojrzeniami na boki. Przyśpieszyłem kroku.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy zatrzasnąłem za sobą drzwi kajuty kapitańskiej, jedyne miejsca na okręcie, w którym naprawdę mogłem się cieszyć chwilą samotności. Nalałem sobie szklaneczkę madery i usiadłem za biurkiem, obracając w dłoniach kopertę z rozkazami od gubernatora Morgana. Powinienem ją otworzyć od razu, lecz wahałem się.

Mój zły humor, przegnany na moment blaskiem pani Tennyson, powracał ze zdwojoną siłą. Instykt żeglarza podpowiadał, że miało się coś wydarzyć. Coś złego. Czyżby koperta od Morgana kryła zwiastun nadchodzącej niedoli?

Otworzyłem ją nagłym ruchem i rozpostarłem przed sobą kartkę, pokrytą linijkami zamasztyego pisma Morgana. Szybko przejrzałem jego treść. "Kapitan William O'Connor, dowódca fregaty HM 'Magdalena' zobowiązany jest do jak najszybszego powrotu to Port Royal celem...".

Nie, to nie o to chodzi. Więc o co?

Przez światełko z góry dobiegało pogwizdywanie starego Danny'ego, który stał za kołem sterowym. Marynarz wesoło pogwizdywał starą piosenkę o dziewczynie z miękkim tyłeczkiem, która wkradała się nocą na pokłady okrętów wojennych i bałamuciła dzielnych marynarzy. Przyśpiewka była o tyle uniwersalna, że w jej treść można było wstawić dowolne imię kobiece, byleby liczyło trzy sylaby.

Przeliczyłem podświadomie. A-lex-an-dra. Cztery.

Przynajmniej głupich piosenek na jej temat jeszcze nie śpiewają, pomyślałem ponuro, wychylając kieliszek do końca. Starczały zwykle trzy dni rejsu, by libido marynarskie, uśpione ostatnim postojem w porcie, na nowo dawało o sobie znać. Tylko czekać, aż zaczną wiercić dziury w ścianach kajuty Tennysonów, pomyślałem ponuro, a ją samą witać impertynenckimi zaczepkami. Nie cierpię kobiet na pokładzie.

Odstawiłem pusty kieliszek i wsparłem brodę o zaciśnięte pięści, wsłuchując się w niezliczone odgłosy okrętu – pokrzykiwania wacht, plusk wody, omywającej burty, skrzypnięcia drewna, a nawet odległe pokrzykiwania bosmana O'Neila. I nagle spośród ich natłoku wyłowiłem coś nowego, nie pasującego do odwiecznej, żeglarskiej symfonii. Coś nieprzyjemnego, jeżącego włos na karku.

Przez cienkie ścianki działowe słyszałem głos pani Tennyson. Ani chybi zwracała się do męża, lecz w tej samej chwili poczułem dla nieszczęśnika ogromne współczucie. Mówiła cicho, dobitnie, z nieopisaną złośliwością, a jad w jej głosie przyprawił mnie o ciarki. Arthur chyba próbował jej przerwać, ale Alexandra ucięła to jednym, wściekłym warknięciem.

Nagle drzwi do mojej kajuty grzmotnęły o ścianę, a futrynę wypełniła ogromna, zwalista postać bosmana O'Neila. Był to jedyny człowiek na całym okręcie, który do mojej kajuty wchodził bez pytania, całkiem ignorując protesty wartownika z piechoty morskiej.

– Dzień dobry, kapitanie. – Burknął i przytknął kciuk do czoła. Z satysfakcją zauważyłem świeże rozcięcie na jego policzku oraz opuchliznę, niemalże zakrywającą oko.

– Witam, O'Neil. – Sięgnąłem znów po karafkę z maderą. – Nie wrócił pan w nocy na okręt. Wraz z osiemnastoma marynarzami. Pan Sullivan ma listę nazwisk.

Bosman zmarszczył groźnie brwi i zasznurował usta, w ostatniej chwili powstrzymując się wygłoszenia kilku fachowych porad, co Sullivan może z ową listą zrobić. W końcu uśmiechnął się z nieśmiałością i dotknął opuchlizny.

– Eee tam... – Mruknął. – Spotkaliśmy się z tymi wymoczkami od Burroughsa. Wie pan, z HMS "Agamemnon". No i... No, rozumie pan.

Westchnąłem ciężko. W załodze mojego okrętu znalazło schronienie zbyt wielu dezertersów, maniaków, zakapiorów i łotrów czystej wody, bym mógł jeszcze dziwić się czemukolwiek.

– Znoszę to wszystko, O’Neil, cierpliwie, bo doskonały z was marynarz. – Powiedziałem znużonym głosem. – Ale kiedyś przysięgam, że każę was przeciągnąć pod kilem.

Bosman wyszczerzył zęby. Zapewne jemu również przyszło mu do głowy, że kadłub okrętu mógł znacznie bardziej przez to ucierpieć, niż on sam. Nawet pominiawszy fakt, że część poniżej linii wodnej kryta była miedzianą blachą. Na jego srogie, ogorzałe oblicze szybko jednak powrócił wyraz powagi.

– Kapitanie, przyszedłem, bo... – Zawahał się, mnąc czapkę w dłoniach. – Bo... Bo jakoś mi tak dziwnie.

– Dziwnie? Odkąd to kac dla was pierwszozna? – Próbowałem się zaśmiać, lecz nie wyszło mi to zbyt szczerze.

– Nie tam kac, kapitanie. – Spojrzenie O’Neila było rozbiegane. – Kac to dobra rzecz. No... Do licha, jest pan żeglarzem. Wie pan, o co mi chodzi.

Miał rację. Nabrałem głęboko powietrza w płuca, przetrząsając pamięć w poszukiwaniu jakichś słów pokrzepienia, ale natknąłem się na ogromną, wszechobecną pustkę.

– Powiem panu tak, O’Neil... – Zacząłem, lecz przerwał mi głos z śródokręcia.

– Syreny! Jak Boga kocham, syreny!

Słońce zbliżało się do zenitu i rozsiewało złocisty poblask po tafli morza. Od prawej ćwiartki rufowej dął równy, mocny wiatr, który wypełniał marsle i żagle główne fregaty. W wysokiej fali dziobowej okrętu prześlizgiwały się ciemne, wrzecionowate kształty delfinów.

Pierwszy skok ponad taflę wody powitała wrzawa radości. Marynarze, stłoczeni na dziobie i wzdłuż prawej burty, pokrzykiwali wesoło i machali kapelusami. Patrzyłem na to z wyżyn pokładu rufowego i czułem, że jak udziela mi się ich entuzjazm. Było w tym coś niesamowitego. Płaszące w kilwaterze delfiny były codziennym obrazkiem na Morzu Karaibskim i rzadko robiły większe wrażenie wśród mej załogi, lecz tym razem było inaczej. Pyski morskich wojowników, ciekawie zerkające ku okrętowi, wydawały się szczególnie przyjazne i rozumne. Nie mogłem się oprzeć uczuciu ciepła, które rosło mi w sercu.

– Hoho! – wołali marynarze. – Wyżej skacz! Wyżej!

– Są piękne! – Klaskała w dłonie roześmiana Alexandra Tennison. – Och, cudowne! Cudowne, czyż nie?

– Tak, to prawda, kochanie! – Odpowiedział jej mąż, roziskrzonym spojrzeniem wodząc za wyskakującymi ponad toń smukłymi, lśniącymi kształtami. Jego prawa dłoń otoczyła kibić żony

Zerknąłem w ich kierunku w porę, by ujrzeć błyskawiczny skurcz wściekłości, który ściągnął twarz Alexandry. Gwałtownie odtrąciła dłoń męża i syknęła kilka słów, mrużąc oczy niczym atakująca żmija. Twarz Artura Tennysona ponownie pożółkła, a zachwyt ustąpił na niej miejsca znużeniu. W sekundę później jego żona znów stała zwrócona ku morzu i klaskaniem witała kolejny delfini skok.

Nagły błysk przykuł moją uwagę. Tuż za grzbietem zanurzającego się delfina zamigotała złocista łuska długiej, kształtnej płetwy. Ludzie wzdłuż burt aż jęknęli z niedowierzaniem, gdy naraz z wody wystrzeliły silne, kobiece ramiona, a w ślad za nimi nadobna twarz i smukłe, krągłe piersi. Syrena odrzuciła głowę i roześmiała się radośnie, z udawaną przekorą przyjrzała oczarowanym ludziom i znowu zanurkowała.

Zamknąłem oczy, chcąc w ciemnościach powiek jak najdłużej cieszyć się złocistym blaskiem łusek na jej ogonie. Gdy znów je otworzyłem, ujrzałem jedynie płetwy grzbietowe oddalających się delfinów. Ludzie stali nieruchomo i z niedowierzaniem śledzili niknące stado.

– Dość... – Głos uwiązał mi w gardle. Odkaszlnąłem. – Dość tego! Do zajęć! Panie Sullivan, panie Millard! Proszę na pokład rufowy, ustalimy pozycję okrętu.

Osiem uderzeń dzwonu pokładowego za moimi plecami oznajmiło nadchodzące południe. Alexandra Tennyson szła w stronę kajuty, dumnie wyprostowana, a za nią szedł... Nie, za nią włókł się jej mąż, z głową wbity w ramiona i martwą twarzą.

– Co to oznacza? – spytał Edward, gdy godzinę później zasiedliśmy do obiadu w mojej kajucie.

– Widzisz, Edward, syreny pojawiały się marynarzom od wieków, nierzadko... – Beztroski wesoły ton w moim głosie naraz wyparował. – Nie wiem, do cholery.

Przed nim jednym udawać nie mogłem i nie chciałem. Przekleństwem kapitana okrętu jest to, że nie stać go na jakiegokolwiek wahania czy rozterki, a przed swoją załogą zawsze musi być posągiem spokoju i opanowania. Wiedziałem z własnego, bolesnego doświadczenia, iż wystarczy raz okazać strach czy niepewność, by ludzie natychmiast zaczęli tracić morale i zapał do pracy. Tak więc, mimo pogłębiających się złych przeczuc i poirytowania obecnością państwa Tennyson, starałem się być tym samym kapitanem Williamem O'Connor, którego wszyscy na pokładzie znali i szanowali. Krótkimi komendami skorygowałem trym żagli, zwięźle omówiłem kurs z nawigatorem Millardem, po czym udałem się na krótką inspekcję dolnego pokładu. Wszędzie starałem się tchnąć spokojem i fachowością, ale zauważyłem, że mnie szybko przejrano. Zewsząd, z kubryków, z pokładu dziobowego, marsów i pomostów mierzyły mnie krótkie, pełne niepokoju spojrzenia. Oni wiedzieli. Starzy marynarze, jak bosman O'Neil, Mulholland czy Danny Baryłka, mieli te same nieprzyjemne przeczucia co ja i wpatrywali się we mnie w poszukiwaniu pociechy.

Której ja im dać nie potrafiłem.

– Nie mam pojęcia, Edward – powtórzyłem, odkładając łyżkę. – Wiele jest morskich przesądów na temat syren. Wedle niektórych, że ich pojawianie się oznacza szczęście, inne zaś, że zwiastują nadchodzące nieszczęście, być może nawet katastrofę okrętu. Jeszcze inne głoszą, że ujrzanie syreny jest jedyną nadzieją na zbawienie dla tych, którzy oddali swą duszę diabłu.

– Doprawdy? Wedle mnie, syrena wyglądała całkiem... – Edward zarumienił się lekko. – Całkiem optymistycznie.

– Żeglujemy razem od wielu lat, a wciąż nie nauczyłeś się myśleć po marynarsku. Morze to absolutnie obojętny żywioł, który potrafi pochłonąć nieostrożnego śmiałka zarówno podczas straszliwego sztormu jak i wtedy, gdy pogoda jest niebiańsko piękna. Rzekłbym nawet, że wtedy jest ono o wiele niebezpieczniejsze. Piękno zwodzi, Edwardzie, i usypia czujność.

– Czy to aluzja do pani Tennyson? – zapytał Love, całkiem już czerwony. – Nie sądzisz chyba, że kobieta takiej urody, o tak doskonałych manierach, mogłaby stanowić... Mogłaby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie?

– Otóż mogłaby. – Kiwnąłem głową. – Wystarczy bowiem, by wiatr podwinął jej suknię, a najlepszy topmen zleczy z rei. Starczy cię zainteresowania z jej strony, a doświadczony żołnierz będzie płótn farmazoncy w jej obronie.

– Przesadzasz. – Edward ponownie zainteresował się talerzem zupy żółtawej.

– Z pewnością. Natomiast wierz mi, że odetchnę z ulgą, gdy oboje pożegnają się z nami na nadbrzeżu Port Royal. Od rana dręczę mnie jakieś dziwne przecucia... Nie mogę zaznać spokoju.

– Czy chodzi tu o mego psa, Billy? – Edward zmierzył mnie krótkim, ostrym spojrzeniem, a łyżka zupy zastygła w połowie drogi do ust. – Jeśli to w tej sprawie gnębią cię wyrzuty sumienia, chcę to usłyszeć.

– Psa? – Zamrugalem oczyma. – Rozumiem, że jeszcze go nie znalazłeś?

– Nie, Billy, a to prowadzi mnie do przekonania, że na twoim okręcie...

Przerwało mu pukanie do drzwi kajuty, krótkie i niecierpliwe, po czym do środka wpadł zdyszany Jeffe, młody Hiszpan z podwachtu stermasztu.

– Kapitanie, sir, za pańskim pozwoleniem! – wysapał. – To pan Tennyson, sir! Żle się czuje i Alexa, pani Tennyson się znaczy, zapytuje pana, czy można tu... No, czy tu jest jakiś lekarz? Znaczy się, czy mam wołać doktora Pollocka?

– Wołaj – powiedziałem, odsuwając krzesło i sięgając po kurtkę mundurową. A-lex-a, przeliczyłem w myślach. Cholera jasna...

– Co dolega panu Tennysonowi? – zapytałem głośno. – Choroba morska?

– Nie, chyba coś zjadł nieświeżego, sir! – wypalił Jeffe. – Trzyma się za brzuch i przeprasza, że go boli. Pewnie kuk podrzucił mu jakieś świństwo. Wie pan, jaki jest Butcher. Dawno już trza go było wypier...

– Jak będę potrzebował rady, Jeffe – warknąłem – nie omieszkać cię o nią poprosić. Zmiataj po doktora.

Jedynym pożytkiem z tego, że pierwszy oficer "Magdaleny", Vincent Fowler, leżał chory w Port Royal, było to, że mogłem odstąpić jego kajutę państwu Tennyson.

Vince się wścieknie, jak się dowie, kto spał na jego koi, pomyślałem, pukając do drzwi.

– Proszę! – Rozległ się stłumiony głos Alexandry Tennyson, w którym wibrowała nutka rozdrażnienia. W korytarzu wisiał ostry, gryzący wręcz zapach jej perfum. Zmełłem przekleństwo i pchnąłem drzwi.

W dusznym wnętrzu kajuty ich aromat był jeszcze intensywniejszy, tłumiąc wszelkie wonie okrętu, łącznie z wszechobecną wilgocią. Pojedynczy bulaj był przesłonięty, przez co panował półmrok, potęgujący jeszcze wrażenie duszności. Alexandra, wciąż strojna w białe suknie, podniosła się z krzesła na moje powitanie. Na jej twarz wypłynął olśniewający uśmiech, którego moc zdołałem już poznać.

– Och, kapitanie! – Dygnęła. – Nie wiedziałem, że pośród wielu pana przymiotów jest również znajomość medycyny!

– Cóż, ja... Eee...

– Przyszedłem, wiedziony troską o pani męża. – Powiedziałem sucho i oficjalnie. Nieomalże znów wpadłem w jej pułapkę. – Doktor jest już w drodze.

– Ach, mój mąż... – Alexandra uniosła lekko brwi, jakby przypominając sobie o obecności trzeciej osoby w kajucie. – Źle się poczuł. Zawsze był kiepskiego zdrowia, sam pan rozumie.

Jej głos, choć ciepły i pozornie bez troski, krył w sobie niezmierzone pokłady niechęci. Z każdą sekundą czułem się w tej kajucie coraz gorzej.

Postąpiłem krok do przodu, ku leżącemu na koi Tennysonowi. Jego twarz, blada i spotniała, wyraźnie odcinała się od półmroku. Dłonie nikły pod pledem, ale miałem wrażenie, że zaciska je na żołądku.

– Kapitanie... – wyszeptał i spróbował podnieść się na moje powitanie. Jego oczy lśniły gorączką. – Kapitanie, proszę wybaczyć... Proszę wybaczyć, że nie mogę powstać, ale... Ta chwilowa słabość... To minie lada chwila, proszę mi wierzyć...

– Proszę nie wstawać. – Powstrzymałem go ruchem dłoni. – Panie Tennyson, niechże pan nie bagatelizuje swoich dolegliwości. Jest pan gościem na moim okręcie i otrzyma pan odpowiednią opiekę. Doktor Pollock będzie tu za chwilę, a póki co... – Spojrzałem na ręcznik, przesłaniający bulaj. – Sam nie znam się wiele na leczeniu, ale jednego jestem pewien. Nic szybciej nie przywróci panu sił od zdrowego, morskiego powietrza.

Zerwałem ręcznik i szarpnąłem za mocowania bulaja. Aż zamrugałem oczyma, gdy kajutę zalał oślepiający strumień blasku słonecznego.

– Kapitanie, nie sędzę, by... – W głosie Alexandry Tennyson zazgrzytała nieprzyjemna nuta.

Na zewnątrz zatupały czyjeś pośpieszne kroki, po czym rozległo się łomotanie do drzwi.

– Kapitanie! – Rozpoznałem głos Mullhollanda, w którym czały się niepokój i ożywienie. – Kapitanie!

– Już idę! – Wykrzyknąłem i ruszyłem w stronę drzwi. Na moment omiotłem wzrokiem bulaj i aż się zatrzymałem. Coś zamigotało wśród morskiej toni, coś złocistego i znajomego.

– Słupek barometru spada na łeb na szyję, sir! – krzyczał Mullholland. – Idzie sztorm jak się patrzy!

– Jasna cholera! – Zakląłem, zapomniawszy o obecności kobiety i wypadłem na zewnątrz.

Na pokładzie zawrzało.

– Bosmanie, stengi na pokład! Na jednej nodze! – ryczałem, roztrącając tłum biegających marynarzy. – Ma pan najwyższą godzinę!

– Aye, sir! – huknął O’Neil i zadał w gwizdek. Topmeni, niczym przerażone, czarne pająki, parli w górę po drabinkach wantowych. Stojący przy zejściówce artylerzysta Zeeman skrzykiwał swych pomocników, a nawigator Millard, przeklinając wściekle, poganiał grupę mocującą szalupy.

W trzech susach byłem na pokładzie rufowym.

– Do ciężkiej cholery, Sullivan! – wrzasnąłem na widok znajomej postaci przy relingu rufowym. – Co pan tu robi?

Na twarzy drugiego oficera malowała się bojaźń przemieszania z całkowitym oszołomieniem. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz jego ust nie opuścił żaden dźwięk. Drżący palec wskazywał horyzont za prawą ćwiartką dziobową.

Rozumiałem go. Ciemna chmura, którą zauważyliśmy na północy pół godziny temu, z każdą sekundą rozlewała się coraz szerzej, pochłonawszy już niemal jedną czwartą widnokregu. Fale potężniały w oczach, a ich szczyty ozdobiły białe grzywy. Wiatr gwizdał przenikliwie w takielunku, wydymając koszule marynarzy. Bukszpryt "Magdaleny" celował prosto w serce złowieszczej ciemności, rozświetlanej żyłkami błyskawic.

– Panie Sullivan, proszę rozwiesić liny sztormowe, a potem uszczelnić luki! – wrzasnąłem, aż podskoczył.

– Czy my... – wyjąkał. – Czy to?

– To tylko sztorm, Sullivan! – warknąłem. – Nie ociągaj się pan, to szybciej przez niego przejdziemy! Luki i liny sztormowe!

– Aye, sir... – Otepiały drugi oficer ruszył w kierunku śródkręcia.

– To tylko sztorm! – roześmiał Danny Baryła, wciąż za kołem sterowym. – Tylko sztorm! Hehehe, raz matka rodziła!

Spojrzałem ku sternikowi. Pomarszczona, ogorzała twarz Danny'ego wykrzywiona była szyderczym śmiechem, ale oczy, spoglądające ku ciemności, były śmiertelnie poważne. Baryła był starym morskim wygą i jego nie zwiódłbym tak łatwo, jak Sullivana.

– Trzymaj się kursu, Danny! – Ryknąłem. – A myślenie zostaw innym!

Okręt ogarnięty był pozornym zamieszaniem, w którym tylko oko doświadczonego żeglarza było w stanie wyodrębnić zamierzone działania. Na rejach królował potężny O'Neil, przekrzykując narastający huk fal i świst wiatru, a opuszczane na linach reje i stengi wolno wędrowały ku pokładowi. Inne grupy marynarzy w pośpiechu zakładały podwójne uprząże na działa i mocowania na żurawiki, inni znosili pod pokład luźne elementy wyposażenia. Sullivan, wciąż błądzący jak ściana, pracował wraz z innymi, a nawigator Millard, wciąż wściekle przeklinając, piął się już ze swymi ludźmi na grotmars, niosąc zapasowe sztagi. Miałem wrażenie, że od chwili wszczęcia alarmu Millard nie powtórzył się ani razu.

– Mullholland! – Zatrzymałem jednookiego pomocnika bosmana, który biegł w stronę jednego z luków z płachtą brezentu. – Do składziku żaglomistrza! Jak O'Neil skończy ze stengami, załóżcie sztormowy fokmarsel!

– Zdamy? – Mullholland spojrzał ku dziobowi, ocierając pot z czoła. W jego jedynym oku załśnił niepokój.

Spojrzałem wraz z nim ku ciemnościom na horyzoncie, próbując oszacować czas do chwili, kiedy sztorm uderzy w nas z pełną siłą. Doświadczenie podpowiadał mi, że niewiele. Fale stawały się coraz wyższe, a porywisty wiatr zrywał ich pienne grzywy. Ciemność zalała już połowę widnokregu.

– Musimy. – Zacisnąłem mocno usta. – Bambo, żywij z tym splotem!

– Sir? – Usłyszałem za sobą głos doktora Pollocka. Niski, żyłasty człowieczek z lekko zaczerwienionym nosem wyglądał na zafrasowanego, co przykuło moją uwagę na tyle, bym na moment zapomniał o przygotowaniach do sztormu. Nasz buńczuczny lekarz pokładowy na co dzień tchnął niewzruszoną pewnością siebie oraz smrodem spirytusu, który fabrykował w czeluściach kadłuba, rzekomo dla celów medycznych. Tam skąd pochodził, stwierdził pan Pollock, gdy wezwałem go na poważną rozmowę, to wielowiekowa tradycja, której wyrzec się nie mam zamiaru.

– Sir, ten nasz gość... – Zawahał się lekarz i chuchnął nieprzetrawionym alkoholem. – To zupełnie insza in szość... Pan Tennyson cierpi na rozległe bóle w żołądku i...

– No i? – Powoli rozumiałem jego wahania. Pollock był wykwalifikowanym lekarzem okrętowym, w związku z czym znał się doskonale na opatrywaniu stłuczeń i skaleczeń, na szyciu ran i amputacjach oraz na leczeniu darów Wenery. Na wszelkie dolegliwości związane z układem pokarmowym znał tylko jedno lekarstwo – lewatywę – a tej szacownemu urzędnikowi Kompanii Wschodnioindyjskiej aplikować nie wypadało.

– No i ja mu nie pomogę! – Wzruszył ramionami Pollock. – Dałem mu proszek usmierzający ból i tyle!

– Zrobił pan, co mógł! Wnet dotrzemy do Port Royal, a tam zajmą się nim już lekarze Kompanii!

– Ci też niewiele pomogą! Pan Tennyson ma problem z...

Wiatr zaryczał nagle ze zdwojoną mocą, a na twarz chlusnęła mi piana, zerwana z grzbietu fali. Natychmiast powróciłem do rzeczywistości. Głos Pollocka utonął w zgiełku, widziałem tylko jego palec, dotykający w znaczący sposób skroni.

– Pod pokład, Pollock! – wrzasnąłem. – Zaraz będzie pan miał mnóstwo stłuczeń i skaleczeń do opatrywania! Sullivan! Sullivan!

Przez tą krótką chwilę ciemność przybliżyła się znacząco, miałem wręcz wrażenie, że lada chwila ogarnie dziób okrętu. Nieopodal grzmotnęła o pokład ostatnia ściągana stenga, którą natychmiast opadł rój marynarzy z linami. Pierwsza wysoka fala roztrzaskała się o sterburtę, mocząc ich plecy. Sullivan biegł w moim kierunku, potykając się i łapiąc lin sztormowych.

– Pańska wachta pod pokład! – rozkazałem.

– Ale...

– Pan również! – dorzuciłem na widok jego bladej twarzy. – Millard!

– Jestem, do kroćset! – Nawigator, spocony mimo rosnącego zimna, pojawił się za moimi plecami. – Zafajdane zapasowe sztagi założone! Te cholerne, zardzewiałe armaty i pieprzone, dziurawe szalupy zabezpieczone! Luki, pies je...

– Obejmuje pan pieprzoną wachtę! – Przerwałem, nie chcąc podejmować tematu żadnych psów, przynajmniej póki w zasięgu wzroku miałem Love'a. – Proszę postawić ten cholerny sztormowy fokmarsel i... O, kurwa.

Ponad grzywami coraz wyższych fal, tam gdzie ciemność wydawała się najgłębsza, pojawiła się naraz cieniutka biała linia, niczym negatyw horyzontu.

– Biały szkwał – powiedział cicho Millard.

– Biały szkwał! – ryknąłem. – Bambo, Mullholland, do steru! Zwinąć grot i grotmarsel! Fokmarsel staw! Kurs południowy ku zachodniemu!

– Aye, cholerny fokmarsel, robi się! – Usłyszałem za swoimi plecami.

Czasu mieliśmy niewiele, bardzo niewiele. Sullivan stał przy zejściówce i piskliwym głosem zaganiał ostatnich zbędnych na pokładzie marynarzy. Podopieczni O'Neila schodzili pośpiesznie w dół po drabinkach wantowych, ignorując szarpiący nimi wiatr, a fokmarsel z hukiem wypełnił się wiatrem. Z rekordową prędkością mocowano ostatnie szoty. Fregata, zbrojna w ledwie skrawek płótna żaglowego, umykała wśród wysokich fal przed rosnącą w oczach, białą kreską.

Wpadłem na pokład rufowy. Mullholland rzucił mi zydwestkę, a potem wraz z Bambo naparli na szczeble koła sterowego. Szybkim spojrzeniem omiotłem niemalże pusty pokład, nagie kolumny masztów, omotane linami szalupy i zapieczętowane luki. Nikt na świecie nie był w stanie przygotować okrętu lepiej do sztormu. Pozostawała już tylko modlitwa.

Biała kreska stała się już szerokim pasmem. Wiatr wył potępieńczo, a o rufę "Magdaleny" rozbryzgiwały się fale, w każdej chwili grożąc wyrzuceniem okrętu z kursu.

– Trzymać kurs! – Naparłem na koło sterowe wraz z marynarzami. – Równo!

– Raz matka rodziła, hahaha! – wrzeszczał purpurowy z wysiłku Danny, a w jego oczach tańczyło szaleństwo.

Gdy znów podniosłem głowę, niedawna pasmo przeobraziło się już w biały, kipiący mur. W kilka sekund później ogarnął nas chaos.

Potworna siła uderzyła w rufę fregaty i cisnęła nią w górę niczym zabawkę, a przez pokład rufowy przetoczyła się spieniona grzywa fali. Poczułem jak szczeble koła sterowego wyślizgują mi się spomiędzy palców, a potem poczułem straszliwy ból, gdy uderzyłem plecami o reling burtowy. Półprzytomnym wzrokiem patrzyłem, jak biała fala cofa się, zabierając drapiącego deski pokładu Bambo, a z ust nieruchomego Mullhollanda, owiniętego wokół naktuz, sączy się strużka krwi. Danny jako jedyny jakimś cudem utrzymał się na nogach – wciąż napierał na koło i rechotał przy tym dziko. W świetle błyskawic widziałem ster wznoszącego się okrętu, niczym drgający niczym płetwa monstrialnego morskiego ssaka.

– Kapitanie! – Bambo próbował powstać na śliskim, wciąż spływającym wodą pokładzie. – Kapi...

Cisnąłem mu linę i nachylony runąłem w kierunku steru. Ledwie pochwyciłem szczeble koła, gdy fregata runęła w dolinę fali. Fokmarsel załopotał dziko, pozbawiony na moment wiatru i naraz wypełnił się z gwałtownością grożącą wyrwaniem płótna z liklin. "Magdalena" wystrzeliła na szczyt kolejnej fali niczym smagnięty pejczem koń wyścigowy.

Rozpoczęła się szalona gonitwa wśród poszarpanego, wzburzonego morza. Mrok był niemalże całkowity i ledwie widziałem pokład, co rusz omywany białawą falą. Gdzieś wśród rozkołysanych wzgórz i dolin fal były błyskawice, które oświetlały twarze moich towarzyszy sinym blaskiem. Przez ułamek sekundy widziałem ich wszystkich – szarego na twarzy Bambo, Mullhollanda z krwią rozmazaną na twarzy, wciąż krzyczącego Danny'ego, a dalej ciemne, przykurczone sylwetki ludzi O'Neila, niczym mroczne gnomy wiążących porwany takielunek – a potem znów zapadały ciemności. Co rusz ciemne niebiosy tryskały strugami rześistego deszczu, a wtedy pył wodny w powietrzu gęstniał do tego stopnia, że nie dało się zgoła oddychać. Fokmarsel, nasz jedyny, trzymający nas przy życiu skrawek płótna, dzielnie opierał się porywom wiatru. Na poły utopieni, oślepieni błyskawicami i ogłuszeni wyciem wiatru, wciąż panowaliśmy nad sytuacją.

Do chwili, gdy dojrzałem ruch na śródookręciu.

Przez mokry, śliski pokład parła pojedyncza, drobna sylwetka. Poznałem ją natychmiast mimo egipskich ciemności – nikt inny na całym okręcie nie zwykł nosić długich, śnieżnobiałych sukni.

– Pani Tennyson! – ryknąłem ze wszystkich sił. – Niech pani wraca... Niech pani wraca do kajuty!

Alexandra odwróciła się w kierunku rufy i przez złudną sekundę wierzyłem, że mnie dosłyszała. Niebo rozdarła kolejna błyskawica, a w jej świetle ujrzałem, że kobieta wcale nie patrzy na mnie. Jej oczy były przymrużone, a twarz wykrzywiała nieludzka wprost wściekłość. Ramię pani Tennyson wystrzeliło do przodu, jakby nakazywała psu lec obok swej nogi.

Jej mąż, mający w ciemnościach dwa metry za nią, skulił się w odpowiedzi na deskach pokładu.

Krzyknąłem po raz drugi, lecz mój głos utonął w świcie wichru i huku morza. Nikt mnie nie dosłyszał – ani Bambo, Danny czy Mullholland, ani tym bardziej Alexandra, która już szła w kierunku dziobu, powiewając połami przemoczonej sukni. Z rosnącym przerażeniem dostrzegłem, że zmierza w kierunku jedyne go nie zapieczetowanego luku, który prowadził między innymi do szpitalika okrętowego. Dojrzałem też, że jej mąż pełźnie po pokładzie w ślad za nią i co rusz wyciąga rękę, jakby w próbie pochwycenia poły jej sukni oraz że...

Oraz że w stronę prawej burty naciera wysoka fala, zbrojna w kotłującą się grzywę.

Puściłem koło sterowe i runąłem schodami w dół, na śródokręcie. Za późno.

Szczęśliwy traf postawił na mej drodze mokry stopień. Poślizgnąłem się i grzmotnąłem o deski pokładu, a w tej samej chwili, gdy o prawą burtę uderzyła z łoskotem fala. Instynktownie pochwyciłem linę sztormową i przywarłem do niej całym ciałem. W śnieżnobiałej kipieli, która wdarła się na śródokręcie, dostrzegłem mokre włosy i twarz pani Tennyson, na której wściekłość została już zastąpiona przez oszołomienie. Naraz wszystko znikło, pochłonięte syczącą, gniewną falą, a gdy znów odzyskałem wzrok, dojrzałem ostatnie strumyki wody, uciekające przez strzaskany reling. Nigdzie nie było ani śladu Alexandry Tennyson.

– Och nie... – Zawył jej mąż, próbując powstać na śliskim pokładzie. – Nie... Alex!

Jego zdołałem pochwycić.

Nie pamiętam, w jaki sposób udało mi się zawlec dorosłego, oszalałego z rozpacz, szamoczącego się mężczyznę do kajuty. Nie pamiętam reszty drogi przez sztorm, ani też poświęcenia, z jakim O'Neil łatał porwane liny, by ocalić jedyny żagiel. Znużenie rozmyło niekończącą się walkę z falami, a gdy nad wzburzonym morzem rozlał się różowy blask świtu, trzymałem się na nogach jedynie największym wysiłkiem woli.

Przetarłem szczypiące od soli oczy i rozejrzałem się dookoła. Wyczerpani do cna Baryła oraz Mullholland zostali już dawno zniesieni pod pokład, jedynie potężny, poszarzały na twarzy Bambo wciąż trwał za kołem sterowym. Jego mięsiste usta poruszały się miarowo, jakby powtarzał słowa modlitwy. Śródokręcie przypominało dno morza, odsłonięte przez odpływ – wszędzie leżały kawałki lin, zerwane bloki, szczątki strzaskanego relingu, a nawet kiście wodorostów. Brakowało jednej z szalup, grotreja lada chwila groziła zerwaniem, a ludzie powłóczyli nogami niczym jamajscy zombie, ale wiedziałem, że przetrwaliśmy kryzys. Wiatr uspokoił się już, a fale znacznie opadły – nawet poturbowana sztormem "Magdalena" z łatwością radziła sobie z takimi warunkami.

– Ośmiu stopów woda w zęzu, el capitano! – Zaszczękał zębami przemoczony starsuszek Sanchez, cieśla okrętowy. – Mokro, że aż mokro!

– Panie Millard, proszę zarządzić zmianę wachty – powiedziałem znużonym głosem, wolno schodząc na śródokręcie. Przez odpieczetowywany luk wyprysnął na pokład zielonkawy na twarzy Sullivan.

– Sullivan, proszę obsadzić pompy i porządnie zamocować grotreję. Potem uprzątnie pan ten bajzel.

– A stengi? – Wyprężył się drugi oficer. Mimo chorowitej cery, prezentował się o niebo lepiej od każdego, kto spędził sztorm na pokładzie. – Założyć stengi?

– Stengi? – Przymknąłem zapuchnięte powieki. Nawet najwścieklesza burza i największe zmęczenie nie pozwoliły mi zapomnieć, że Sullivan, pomimo swych dobrych chęci i momentów gorącego zapału, był człowiekiem, któremu oddanie okrętu stojącego na kotwicy granoczyło z pewnym ryzykiem. – Nie, stengi wstawimy później. Znacznie później. Gdzie jest bosman?

– Tu, kapitanie.

Zwalisty O’Neil był znużony do granic. Barczyste ramiona zwisały nisko, a przez pobladły, ziemisty policzek biegło świeże cięcie. Dłonie bosmana, choć twarde i chropowate, starte były do krwi od ciągnięcia lin.

– Znów wyszliśmy cało, Douglas. – Uśmiechnąłem się blado.

– A co pan se myślał, sir? – W zmęczonych, zapadniętych oczach O’Neila błysnęło ożywienie. – Że błysnie i powieje, a dobry marynarz głowę straci?

Zacisnąłem zęby, z całej siły opanowując chęć uściśnięcia go przy całej załodze.

– Jakież straty? – Włożyłem mnóstwo wysiłku, by w moim głosie zabrzmiała zwyczajowa oschłość.

– Smitty’emu wbiła się drzazga w ramię, a Ned Harpunnik dostał blokiem przez łeb. To chyba wszystkie ofiary, sir.

– Niestety nie, Doug – westchnąłem z żalem. – Nie wszystkie.

W głowie mi huczało, a przed oczami biegały mi ciemne plamy ze zmęczenia, ale nie chciałem kłaść się na spoczynek przed wypełnieniem swego ostatniego obowiązku. Pani Tennyson nie należała do mojej załogi, ale jako pasażer pozostawała pod moją opieką. Musiałem zatem udać się do kajuty jej męża i spróbować jakoś go pocieszyć. Z każdym krokiem czułem jednak coraz większą pustkę w głowie.

Co ja mu powiem? – zapytałem sam siebie. Niejednokrotnie przychodziło mi już pokrzepiać marynarzy, którzy pogrążali w rozpacz po utracie braci, krewnych czy bliskich kompanów. Było to niewdzięczne zadanie i nie cierpiałem go, ale jako kapitan zawsze jakoś wiedziałem, jakimi słowami pocieszyć tych, z którymi razem się walczyło i pływało. Jak podnieść na duchu męża zrozpaczonego po śmierci żony, nie miałem pojęcia.

Może nie jest z nim aż tak źle? – przeszło mi przez głowę. Przecież ta kobieta była diabolicą. Może teraz, gdy jej zabrakło, ten człowiek odetchnie z ulgą i rozpocznie lepsze życie?

W tej samej chwili przed oczyma stanęło mi wspomnienie Tennysona, który pełził po mokrym pokładzie, by pochwycić skraj mokrej sukni żony. On ją kochał, uświadomiłem sobie. Kochał tą wiedźmę nieszczęsną, ale głęboką miłością.

Z każdym krokiem szło mi się coraz ciężiej, a mój otepiały umysł ział pustką. Nie znałem słów, którymi mógłbym go pocieszyć.

W korytarzu wciąż unosił się zapach jej perfum. Całkiem zrezygnowany, z nisko zwieszoną głową, nabrałem głęboko tchu i zastukałem do drzwi.

– Proszę poczekać! – Odpowiedział mi radosny, dzwięczny głos.

Krew zastygła mi w żyłach. W sekundę później pani Alexandra Tennyson, uśmiechnięta i rozpromieniona jak mała kiedyś, otworzyła drzwi na oścież. Ogarnęła mnie ciemność.

Dochodziłem do pełni sił w hamaku, który na moje polecenie rozwieszono w kajucie kapitańskiej. Rdzawy blask zachodzącego słońca rozlewał się po spokojnej, oleistej tafli morza, a przez świetlik do wnętrza wpadało świeże powietrze. Leżałem z zamkniętymi oczyma i delektowałem się smakiem morskiego wiatru, w którym czułem już zapach łądu, choć wedle słów nawigatora Millarda od Port Royal dzieliło nas jeszcze około sześćdziesięciu mil morskich.

Dobrze mi się leżało z zamkniętymi oczami. Wciąż nie wiedziałem bowiem, jak patrzeć na człowieka, który siedział przy moim biurku i milczał.

– Niech pan nie prosi mnie o wytłumaczenie – odezwał się w końcu Tennyson. – Widział pan to samo co ja, nieprawdaż?

– Widziałem falę, która omyła śródokręcie, gdy znajdowała się tam pańska żona – odpowiedziałem wolno.
– Gdy fala się cofnęła, ujrzałem jedynie strzaskany reling. Pańskiej żony już tam nie było.

– A potem zaciągnął mnie pan do kajuty – dokończył Tennyson. – Dobry Boże, jakże ja jestem panu wdzięczny... Ja... Ja byłem skłonny za nią skoczyć.

Nie odpowiadałem przez dłuższą chwilę. Wciąż nie otwierając oczy, pociągnąłem łyk madery z trzymanej w dłoni szklanki. Jednym z powodów, dla którego ceniłem talenty medyczne doktora Pollocka było to, że konsekwentnie zapominał wstrzymać swym pacjentom racje alkoholu. W tej chwili nie myślałem jednak ani o specyfice jego terapii, ani o cudownym ocaleniu pani Tennyson. Smakowałem wino i spod półprzymkniętych powiek śledziłem twarz Arthura. W głowie kłębiła mi się pewna niecodzienna myśl, która, choć niedorzeczna, z każdą chwilą stawała się bardziej przekonująca.

– Gdy zatrzasnął pan drzwi mej kajuty, kapitanie – mówił zamyślony Tennyson – popadłem w dziką rozpacz. Modliłem się do Boga, ale ten mnie nie słuchał. Potem... – zwilżył suche wargi – potem modliłem się do diabła. Krzyczałem, by oddał mi żonę, ale on również milczał. Wtedy zrozumiałem, że modlitwa nie dotrze do diabła ani do Boga tam, gdzie szaleją tak straszne żywioły. I wtedy pomodliłem się do morza.

– Do morza? – Otworzyłem szeroko oczy.

– Tak, do samego morza. – Pokiwał głową Tennyson. – Błagałem fale, by oddały mi moją Alexandrę, szlochałem i płakałem aż do utraty przytomności. Gdy się obudziłem, ona była przy mnie. Siedziała przy mojej koi i ocierała mi czoło z potu. W pierwszej chwili myślałem, że to wszystko mi się przyśniło. Wykrzyknąłem z radości i podniosłem się, by ją objąć, ale... Ale znieruchomiałem, gdyż Alexandra... tamta Alexandra nienawidziła wylewności. Tymczasem nie padło żadne złe słowo, nie było wściekłych spojrzeń, ani.. Ani uderzeń. Ona mnie przytuliła, sir. Prze... Przepraszam, że musi pan tego wysłuchiwać.

– Proszę nie przerywać. – Patrzyłem przez okno rufowe na zalaną słońcem tafel morza, którą nagle zmarszczyło stado wynurzających się delfinów.

– Ona jest całkiem inna. – Dorzucił Tennyson cichym głosem. – Swobodna, pełna gracji, ciepła... I czułości. Zupełnie jakby...

Zupełnie jakby ktoś zastąpił w niej tego potwora, pomyślałem.

– Łąd na horyzoncie! – Dobiegł nas odległy okrzyk z fokmarsu.

– Niebawem dobijemy do Port Royal. – Wstał Tennyson. – Chciałem... Chciałem panu podziękować. Za wszystko, sir.

– Miło mi było pana gościć. – Usiadłem na hamaku i podałem mu dłoń. Wciąż zapadnięte, podkrążone oczy urzędnika lśniły, a jego żółtą cerę zabarwiły nieśmiałe rumieńce. Już nie był człowiekiem, którego zapominało się z chwilą odwrócenia spojrzenia.

– Ach, byłbym zapomniał. – Tennyson zatrzymał się przed drzwiami i z wahaniem sięgnął do kieszeni surdutu. – Być może to nieważne, ale... No cóż, jestem w końcu szczurem lądowym i nie do końca rozumiem tajniki życia na morzu. Sam pan powie, czy to ma jakieś znaczenie, dobrze? Otóż znalazłem to pod koją Alexandry.

Na dłoni Tennysona spoczywało kilka dużych łusek, wyschniętych, lecz wciąż lśniących czystym złotem.

Lekka, nadmorska bryza wydymała poły białej sukni pani Tennyson i wyłuskiwała ciemne loki spod jej kapelusika. Patrzyłem, jak z gracją ujmuje swego męża pod ramię i nachyla ku niemu głowę, szepcząc mu coś na ucho. Tłum na ruchliwym nadbrzeżu Port Royal, zdawał się rozstępować przed nimi, jakby urzeczony ich szczęściem.

– Niezwykła kobieta – westchnął Edward, który stał tuż obok mnie i opierał łokcie o reling rufowy. W jego oczach lśniła tęsknota. – Będzie mi jej brakowało.

Edward nigdy się nie dowiedział, jak bliski śmierci był w tej chwili. Ocaliło go szczekanie, które niespodziewanie przebiło zgiełk portu. Ku trapowi, łączącemu nabrzeże z burtą okrętu, pędził dziewięćofuntowy, obśliniony, rozszczekany gwałciciel butów.

– Popatrz, toż to Winston – stwierdził Love, perfekcyjnie maskując wzruszenie. – Niewiarogodne, czyż nie? A pomyśleć, że niemalże uwierzyłem w tę historię z armatą. Lung! Lung, dobry człowieku! Proszę zabrać Winstona i zanieść go do mojej kajuty, a następnie wyszczotkować i... Lung, trap jest na prawej burcie!

Nie zwróciłem już na to uwagi, zapatrzony w sylwetkę pani Tennyson. Alexandra odwróciła się na moment, jakby chcąc ostatnim spojrzeniem ogarnąć okręt. Nie dostrzegła jednak ani mnie, ani Edwarda, czy kogokolwiek z załogi. Nie dziwiłem się temu. Wiedziałem, że do końca życia jedynym człowiekiem, którego będzie dostrzegać, będzie jej mąż.

A za to, że jej oczy błysnęły złotem, mógłbym oddać prawą dłoń.